

Głos ciemnego ludu

7 czerwca 2015

W teorii idea referendum wydaje się najlepszym narzędziem do wprowadzenia zasadniczych zmian politycznych. W praktyce jednak jest to rozwiązanie wątpliwe. Referendum legitymizuje bowiem dyktat większości nad mniejszością, co jest sprzeczne ze współczesną demokracją.

Referendum w Irlandii w sprawie zmian w konstytucji kraju, które umożliwią małżeństwa parom gejów i lesbijek, przykuło uwagę całego świata. Pierwszy raz w historii państwo zalegalizowało małżeństwa homoseksualne poprzez głosowanie powszechne. W centrum Dublina setki ludzi demonstrowały swoją radość z wyników plebiscytu. Głosy poparcia napływały także z innych krajów. 62 proc. głosujących zgodziło się ze zdaniem, że „małżeństwo dwóch osób może zostać zawarte zgodnie z prawem bez względu na płeć”. Tym samym Irlandia stała się 14. krajem w Europie, w którym małżeństwa osób homoseksualnych są legalne. Prasa irlandzka pisze, że zwyciężyła demokracja, komentując w ten sposób także wysoką frekwencję. W rzeczywistości jednak w Irlandii zwyciężyła nie tyle demokracja, ile progresywne, liberalne myślenie większości społeczeństwa oraz zakrojona na szeroką skalę kampania namawiająca do głosowania na „tak”. Tym razem się udało, ale Irlandia w jakimś sensie ustanowiła niebezpieczny precedens dla innych krajów, gdzie społeczeństwa niekoniecznie są tak samo oświecone i tolerancyjne. Pomysł, że większość może wprowadzać prawa dla mniejszości, jest fundamentalnie błędny. Prawa jednostki bowiem nie mogą podlegać głosowaniu. Większość nie może nadawać lub odbierać praw mniejszości. Cała idea i polityczna funkcja praw mniejszości polega na tym, że mają one chronić je przed opresją większości. Na tym bowiem opiera się w głównej mierze współczesna demokracja.

TERA, K..., MY

Większość ludzi uważa referenda za idealne narzędzie w procesie politycznym. Intuicyjnie wydaje nam się, że plebiscyt to kwintesencja demokracji. W końcu społeczeństwo odpowiada na fundamentalne pytania w sprawach zmian ustrojowych, praktyk dyskryminacyjnych oraz przyszłych losów kraju. Media i niektórzy politycy często odwołują się do idei referendum. Ludzie powinni mieć prawo do decydowania – głosi najczęstszy komunikat, z którym nie sposób się nie zgodzić. Zdanie wydaje się niewątpliwie słuszne i niepodlegające jakiegokolwiek dyskusji. Jednak jeśli bliżej przyjrzymy się referendum, zobaczymy negatywne aspekty tej idei.

Powszechnie, zwłaszcza w Polsce, uważa się, że demokracja to taki system, w którym decyduje większość. Lud partycypuje w minimalnym stopniu w procesie demokratycznym, odgrywając zasadniczo rolę sędziego. Coś demonstruje, coś pokazuje albo odreagowuje. Raz na cztery lata. Rolą wyborów staje się tylko wskazanie partyjnej elity, która sprawując władzę, i tak zrobi potem, co zechce. Ona to wie. I wyborcy też już to doskonale wiedzą. W końcu taka jest wola większości. W rzeczywistości jednak współczesna demokracja to skomplikowany system mozolnego ucierania kompromisów, szukania rozwiązań zmniejszających napięcia społeczne i polityczne. To branie pod uwagę głosów oraz nacisków różnych grup i środowisk, lobbystów, organizacji pozarządowych, a nawet jednostek. To wreszcie permanentna debata władzy i elit ze społeczeństwem. Owszem, ta przestrzeń debaty na całym Zachodzie się kurczy, za to rośnie przestrzeń kłótni. Obywatele coraz częściej się wycofują, a politycy niemal wszędzie coraz bardziej zamieniają się w sprzedawców politycznych produktów i marketingowców.

Nie ulega wątpliwości, że demokracja wszędzie ma większe lub mniejsze problemy, ale zachodnie elity polityczne nie chcą się z tym pogodzić i wciąż szukają rozwiązań, żeby demokrację wspierać i ulepszać. Demokrację, czyli system, w którym dobrze ma się czuć i funkcjonować zarówno większość, jak i mniejszości. Stwierdzenia polityków, którzy wygrywają wybory i

przekonują, że będą starali się być premierami czy prezydentami wszystkich obywateli, także tych, którzy na nich nie głosowali, często budzą śmiech i odbierane są jako typowa nowomowa bez żadnego znaczenia. Ale mają one głęboki sens. Pokazują, że elity władzy są świadome ograniczeń demokratycznego mandatu oraz tego, iż zwycięstwo w wyborach nie upoważnia ich do całkowitego zawłaszczenia przestrzeni politycznej. To tzw. pozytywna hipokryzja oraz demokratyczny cynizm. Władza bez względu na poziom poparcia społecznego cały czas musi szukać rozwiązań, które zadowolą różne grupy interesu. Możliwie poszukiwać kompromisów, często sprzecznych z poglądami własnego elektoratu. Referendum, zwłaszcza w sprawach dotyczących praw mniejszości, wywraca do góry nogami ten demokratyczny stolik, stawiając sprawę na ostrzu noża. Tutaj nie ma miejsca na kompromis. Jest tylko biel i czerń. Tak albo nie.

PÓŹNE REFLEKSJE

W historii istnieje wiele przykładów na to, jak głos większości może mieć negatywne konsekwencje dla mniejszości. Najbardziej oczywistym i nie tak odległym jest kwestia małżeństw mieszanych w Stanach Zjednoczonych. To amerykańscy sędziowie rozpoczęli krucjatę przeciwko dyskryminującym praktykom prawnym zakazującym formalnych związków między białymi i czarnymi. Na długo zanim sami Amerykanie dojrzeliby do tolerancji. Kiedy w 1967 r. Sąd Najwyższy uznał zakaz małżeństw mieszanych za niekonstytucyjny, 72 proc. Amerykanów sprzeciwiało się tej decyzji. Zasadniczo w sprawach światopoglądowych większość jest zazwyczaj konserwatywna. Nie lubi zmian wpływających na porządek społeczny ani zmian kulturowych, które podkopują jej wizję świata. Gdyby Wielka Brytania z determinacją i wbrew tabloidalnemu, populistycznemu głosom nie chroniła praw mniejszości, muzułmańskie dziewczęta nie mogłyby nosić hidżabów w szkołach. Tolerancja Brytyjczyków ma bowiem swoje granice. Możliwe też, że w wyniku głosowania osoby otyłe albo palacze straciłyby prawo do darmowej opieki

zdrowotnej lub podniesiono by im znacząco składkę zdrowotną. Społeczeństwo chętnie odebrałoby też zasiłki narkomanom, pijakom czy emigrantom. A także wprowadziło karę śmierci. Problem z głosem ludu jest bowiem taki, że jest on często dziki, nieokiełznany i podatny na manipulacje. Referendum w tym kontekście to jedynie coś w rodzaju oficjalnego sondażu. Pokazuje, co o danej sprawie myśli większość biorąca udział w tym procesie, ale nie powinno to wyznaczać kierunku polityki państwowej. Nawet jeśli będą poprzedzały je kilkuletnie powszechne debaty i deliberacje, jak było w przypadku Irlandii, gdzie kampania na rzecz przyznania praw gejom i lesbijkom do zawierania małżeństw zaczęła się kilka lat temu. Irlandczycy w większości pokazali swój humanizm, solidaryzm i tolerancję. A także empatię dla swoich koleżanek i kolegów, braci, sióstr, współpracowników. Na zielonej wyspie kwestia małżeństw jedнопłciowych nie przerodziła się w zjadłą wojnę kulturową, ale w głosowanie niezwykle prywatne. W końcu, jak głosił wybitny irlandzki pisarz John McGahren, „Irlandia nigdy nie była państwem narodowym, ale zbiorem dziesiątek tysięcy małych republik nazywanych rodzinami”. To była wspaniała, poruszająca chwila wyzwolenia i nadziei, a także ważny moment przededefiniowania wartości tego małego kraju. Dzięki temu referendum Irlandia stała się bardziej sympatycznym, sprawiedliwszym krajem, przed którym otwierają się nowe możliwości społecznego rozwoju. Jednak ten triumf tolerancji nie powinien nam przesłaniać zagrożeń wynikających z referendum. Prawa mniejszości nie powinny podlegać głosowaniom powszechnym.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk